

Tomasz Jurek
(Instytut Historii PAN)

PO CO I KOMU POTRZEBNA JEST MEDIEWISTYKA?
POLSKIE BADANIA NAD PÓŻNYM ŚREDNIOWIECZEM W OSTATNICH 30 LATACH

Podział problematyki naszej sesji na wczesne i późne średniowiecze wydawać się może sztuczny. Zaczniemy więc od charakterystyki epoki, która została mi przypisana. Zasięg chronologiczny późnego średniowiecza nie jest całkiem jasny. Wybór symbolicznej daty końcowej jest dyskusyjny – czy będzie to rok 1454, 1466, 1492 czy 1505, a może dopiero 1526 r. (ugruntowany w regionalistyce, zarówno mazowieckiej, jak i śląskiej). Choć więc panuje zgoda, że przełom wypada gdzieś na schyłek XV lub początek następnego, różne propozycje oscylują w przedziale 70 lat. Jeszcze większy kłopot z podziałem między średniowieczem wczesnym a późnym. Najbardziej ugruntowana wydaje się cezura na połowie lub końcu XIII w. (tak podzielona jest Kultura Polski średniowiecznej), ale często też z przesunięciem na restytucję Królestwa na początku XIV w. W praktyce jednak badacze, których uznajemy za wczesnośredniowieczników, skupiają się przede wszystkim na pierwszej monarchii piastowskiej, może z przedłużeniem na czasy jedenastowiecznej odbudowy, może tak do Galla, może nawet do 1138 r. Konstytutywna jest tu oczywista fascynacja początkami, do tego dochodzi zaś zasadnicza zmiana w sytuacji źródłowej. To kryterium lepsze i klarowniejsze niż sporne zawsze szukanie cezur wydobywanych z dziejów politycznych czy ustrojowych. Wczesne średniowiecze jest więc tam, gdzie jest mało źródeł, późne zaś zaczyna się tam, gdzie ich zasób gwałtownie przyrasta, co wymaga od historyka innego zgoła podejścia metodycznego i warsztatowego, choćby czytania archiwaliów. Przełomy wskazać można dwa: w połowie XII w. pojawiają się dokumenty, których liczba narasta w stuleciu następnym, natomiast na przełomie XIV i XV w. pojawiają się w Polsce księgi sądowe i urzędowe różnych porządków prawnych. Jest to prawdziwa rewolucja dla historyka. Zmienia się całkowicie sytuacja. Od właściwego jakoby dla mediewistyki ubóstwa źródeł przechodzimy nagle w obliczu trudnego do ogarnięcia bogactwa. Pociąga to za sobą konieczność odmiennego podejścia metodycznego, a nawet warsztatowego. Trzeba czytać archiwalia, a naczelnym problemem staje się już nie jak najintensywniejsze wyzyskanie szczupłych przekazów, ale właściwa selekcja materiału z punktu widzenia określonego tematu badań. W takim trójpodziale, w którym późne średniowiecze to epoka ksiąg sądowych, a wczesne – czasy najwcześniejsze, przeddokumentowe po XII w., ginie trochę cały środek, wieki XIII i XIV.

W istocie stanowią one chyba epoką przejściową, pełne średniowiecze – pojęcie to zna wiele języków (Hochmittelalter, High Middle Ages), także słowiańskich (vrcholný středověk), ale z trudnych do wyjaśnienia względów unika się go w naszej historiografii. Zaproponowane kryterium wyodrębnienia późnego średniowiecza rozmywa zarazem jego dolną granicę. Epoka ksiąg sądowych trwa przecież w głąb wieku XVI i dalej aż do rozbiorów. Choć można powołać się na kolejny przełom, związany zwłaszcza z upowszechnieniem się od XVI w. korespondencji i lawinowym rozrostem wszelkiego piśmiennictwa, to owe rozmycie chronologicznych cezur ma swoje znaczenie. Historyk późnego średniowiecza nie powinien unikać patrzenia i wkraczania poza tę granicę, za którą zaczynają się już czasy nowożytne. Takie wycieczki w czasy bogatsze źródłowo zawsze są wskazane i kształcące. Widać tam bowiem często dokładnie sprawy, które umykają poznaniu w epokach w źródła uboższych. Stąd warto zresztą, by wszyscy mediewiści zaglądali do późnego średniowiecza – bo tam nabyć można np. znajomość prawa ziemskiego albo reguł funkcjonowania kancelarii, co przydaje się także badaczom XII czy XIII w. Cezura końcowa średniowiecza ma wreszcie istotne znaczenie dydaktyczne – historyków trzeba kształcić w podziale na jakieś specjalizacje chronologiczne – ale należy uświadamiać sobie pewną sztuczność tych podziałów, które na pewno warto i trzeba przekraczać.

Mówić mamy o ostatnich 30 latach, a więc czasach od wielkiego przełomu 1989/1990 r. Nowa sytuacja przyniosła ustanie nacisków politycznych na historiografię, choć przecież w przypadku mediewistyki i wcześniej nie były już one od dawna znaczące. Odblokowały się pewne tematy, bardziej zresztą poprzez otwarcie możliwości kwerend niż zniesienie cenzorskich zapisów. Dopiero teraz np. można było wykonać spisy urzędników ziem ruskich czy litewskich, a *Słownik historyczno-geograficzny ziem polskich* mógł szerzej wkroczyć na Ruś koronną. Wielkie znaczenie miało otwarcie się na Zachód, oznaczające łatwość kontaktów, większe możliwości wyjazdów, publikacji, sprowadzania literatury, chłonięcie inspiracji. Owa otwartość na szeroki świat sprzyjała walce z własnymi słabościami, w tym resentymentami narodowymi, zwłaszcza antyniemieckimi. Ich szybki zanik wynikał jednak chyba nie tyle z samych przemian politycznych w naszym kraju, co ze zmian generacyjnych – po obu stronach zaciera się pamięć krzywd, wojny, okupacji i wypędzeń, a niemieckie zainteresowanie Śląskiem, Pomorzem czy Krzyżakami coraz bardziej się kurczy, a jeśli już, to bada się te sprawy w programowo wyprany z narodowych emocji sposób. Dziś nie mamy już komu dawać odporu. Paradoksalnie wyglądały sytuacje, kiedy to polscy czy czescy historycy włączali się w walkę o utrzymanie zasłużonych instytucji niemieckiej Ostforschung, zrodzonych kiedyś z ducha konfrontacji, a obecnie zagrożonych w swym bycie ze względu na brak zainteresowania władz. Z drugiej strony stanął przed polską mediewistyką problem zmierzenia się i dyskusji z rozwijającymi się historiografiami zza wschodniej granicy. Mamy wobec nich, jak się wydaje, nieco protekcjonalny stosunek, choćby przez niedostrzeżenie ich

dorobku, z którym się często nie zgadzamy. Warto tymczasem podejmować z badaczami litewskimi czy ukraińskimi poważną, rzeczową, ale i krytyczną dyskusję. Ważne, by nie dać się w niej wciągnąć w spór motywowany pozycjami narodowymi. Słaby kontakt utrzymujemy z mediewistyką rosyjską, może z wyjątkiem paru badaczy. Po 1989 r. nastąpiły wreszcie wielkie przemiany infrastrukturalne, dotyczące zresztą oczywiście nie tylko mediewistyki. Rozrost sieci szkół wyższych i żywe zainteresowanie studiami humanistycznymi powodowały znaczny rozrost kadr naukowych, także w mediewistyce, choć ona nie była raczej ową popularnością objęta; wszędzie jednak, gdzie wykładano historię, należało stworzyć zakład/katedrę historii średniowiecznej, a także nauk pomocniczych (z reguły obsadzaną mediewistami). Dziś następuje trend odwrotny – humanistyka traci pozycje, uczelnie przeżywają kłopoty i w oczy zagląda groźba redukcji zatrudnienia. Wydaje się, że groźba ta dotknąć może szczególnie mediewistykę, jako z pozoru najmniej przydatną w czasach programowej otwartości na potrzeby społeczeństwa i gospodarki. Może zresztą redukcja przywróci pewną równowagę. Rozrost kadry mediewistów nie pociągał bowiem za sobą przechodzenia w zmiany jakościowe. Pochodną tego rozrostu kadr był wzrost liczby publikacji (każdy pracownik musiał przecież coś pisać). Odejście w niepamięć gospodarki centralnie planowanej oznaczało zasadnicze odblokowanie możliwości druku. Przez długi czas łatwość publikacji była wręcz zatrważająca. Bywały lata, kiedy ministerstwo hojną ręką finansowało wszystko, co tylko wydawcy zechcieli zgłosić. Ostatnio nie jest już tak łatwo. Choć lansowane obecnie zasady (finansowania „doskonalenia” czy digitalizacji, a nie samej publikacji jako takiej) wydają się dziwaczne i boleć można nad stwarzanymi utrudnieniami, to samo ograniczenie łatwości publikowania za ministerialne pieniądze wyjść może nam wszystkim na dobre.

Tak zarysowane warunki miały oczywiście wpływ na prowadzone badania. Nie jest moim celem, aby w tym miejscu podsumowywać i charakteryzować wszystko, co się robiło i robi w zakresie badań nad późnym średniowieczem. Forma niniejszej wypowiedzi uprawnia do dokonania subiektywnych wyborów i równie subiektywnych ocen. Zaczniemy od edytorstwa. Łatwo wykazać, wyliczając wydane tomy i serie, że zrobiono bardzo wiele. Stan nie jest jednak zadowolający. Nie w pełni wykorzystane zostały możliwości, jakie oferują nowe technologie informatyczne. Biblioteki cyfrowe pełne są wprawdzie edycji (w zasadzie badacz wykonujący kwerendę w źródłach drukowanych nie musi już dziś chyba wychodzić z domu), ale nie ma wciąż jednej bazy, w której można by je znaleźć w przeszukiwalnej postaci. O ile wiem, tylko dwa z podstawowych zbiorów dokumentów – a więc Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski (11 tomów) i Kodeks dyplomatyczny Małopolski (4 tomy) – są dostępne w takiej właśnie wersji tekstowej, a nie jako skan (przy czym ten drugi za sprawą komercyjnej edycji na CD, która nie została nigdy udostępniona w sieci). Nie włączyliśmy się niemal do ogólnoeuropejskiej inicjatywy

monasterium.net (jedynym wyjątkiem jest Archiwum Państwowe w Lublinie, które umieściło tam 20 dyplomów z zespołu Dokumentów miasta Lublina, stanowiących w tej międzynarodowej bazie jedyną wizytówkę naszych zbiorów). Wielki zbiór dokumentów pergaminowych Archiwum Głównego Akt Dawnych był już kiedyś w internecie, po czym stamtąd zniknął. Nawet, jeżeli wiele archiwów coś robi, skanuje i udostępnia, to są to inicjatywy nieskoordynowane i brak jednej, centralnej platformy, na której można byłoby je wszystkie śledzić. Nie nauczyliśmy się wciąż wykorzystywać możliwości, jakie dają narzędzia cyfrowe.

W zakresie źródeł narracyjnych działa się może niezbyt wiele, ale docenić trzeba krytyczne edycje kilku ważnych zabytków (jak choćby Kronika Dzierzwy czy Komentarz Jana Dąbrówki do Kadłubka), a przede wszystkim dokończenie nowego wydania Roczników Długosza. Szkoda, że nie podjęto wydania innych jego pism, znanych wciąż przeważnie z dziewiętnastowiecznych wydań w ramach Opera omnia, nie spełniających często najbardziej podstawowych wymogów krytyki. W zasadzie jednak nie ma już co liczyć na ujawnienie nowych tekstów, a zdarza się, że nowe reedycje nie są w stanie zastąpić starych wydań z XIX w. (jak stało się w przypadku pruskich kronik Piotra Dusburga i Wiganda z Marburga). W zakresie źródeł dokumentowych wydawano rzeczywiście sporo – szacunkowo licząc, ocenić można, że zasób zostawiony przez pokolenia wielkich wydawców, Xawerego Liskego, Franciszka Piekosińskiego i Bolesława Ulanowskiego, został w ostatnim półwieczu (zmieniam tu optykę, aby ogarnąć całość dokonań Stanisława Kurasia i Ireny Sułkowskiej-Kuraś) co najmniej zdublowany. To oczywiście wielka wartość, ale sama ilość może być myląca. Wydajemy bowiem wciąż głównie suplementy do starych wydawnictw. Nie wykraczają one niemal wcale poza wyznaczoną dawno temu granicę połowy XV w. Nie stworzyliśmy wciąż kodeksów regionalnych z prawdziwego zdarzenia (zbierających korpus krytycznie opracowanych dokumentów z danej ziemi), ani choćby krytycznych repertoriów porządkujących materiał (Repertorium dokumentów polskich doby piastowskiej utknęło w 1937 r. na progu XIII w., gdy produkcja dyplomatyczna właściwie się dopiero zaczynała). Nie mamy wciąż wydanych najważniejszych dokumentów rangi państwowej, których szukać trzeba rozproszonych po różnych wydawnictwach (w tym nawet w kodeksie Macieja Dogiela z XVIII w.). Nie wydajemy Metryki Koronnej. Nie prowadzi się inwentaryzacji archiwaliów, choć mamy w tym zakresie ostatnio pewne jaskółki, jak katalog dokumentów królewskich z Archiwum Państwowego w Gdańsku, katalog dokumentów górnośląskich czy wielki katalog dokumentów Archiwum Państwowego we Wrocławiu, oferujący jednak 17000 regestów bez indeksu, co czyni go praktycznie nieprzydatnym do niczego. Pilnym postulatem pozostaje wciąż wydanie piętnastowiecznej korespondencji, zachowanej głównie w archiwach wielkich miast (Wrocław, Gdańsk) oraz w archiwum krzyżackim (dziś w Berlin-Dahlem). Rzeczywiście nową wartość wniosło, niezależnie od wszystkich jego słabości i braków, Bullarium Poloniae, które po raz

pierwszy udostępniło ogromny materiał z akt papieskich. Mamy oznaki przełamania regresu w wydawaniu ksiąg sądowych. Wydaje się sporo ksiąg miejskich, drgnęła inicjatywa wydawania ksiąg ziemskich i grodzkich, a na horyzoncie widać zapowiadane publikacje akt kościelnych (chyba, jak pokażę niżej, najcenniejszych). Cieszyć muszą wszystkie propozycje ich udostępniania, także w formie samych indeksów, zestawień tabelarycznych czy baz danych; jakąś formą zagospodarowania materiału zapisek z ksiąg stanowi też wykorzystujący go szeroko *Słownik historyczno-geograficzny ziem polskich*. Wszystkie te pomysły wymagają jeszcze gruntownego przemyślenia, przedyskutowania i wypracowania jasnych standardów. Nie wiadomo zresztą, kto miałby je ustalić. Prawdziwym przekleństwem naszego edytorstwa późnośredniowiecznego jest mianowicie rozproszenie prac i brak jakiegokolwiek koordynacji wysiłków. Symbolem tego zjawiska jest nowa seria Monumenta Poloniae Historica, w której ukazują się kolejne tomy bez żadnego widocznego planu, ładu i zamysłu, tak po prostu, jak dostarczają je działający na własną rękę wydawcy. Inny przykład dawały skany Metryki Koronnej, które jakiś czas dostępne były za pośrednictwem strony internetowej Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, nie zaś na stronie będącego ich depozytariuszem Archiwum Głównego Akt Dawnych. Na szczęście zostało to już naprawione. Temu nieuporządkowaniu winne pewnie i nasze narodowe przywiązanie do indywidualizmu, zamiłowanie do działań partyzanckich, powiązana z tym niesprawność organizacyjna, i zła polityka ministerialnego mecenasa, który wciąż nie znalazł (mimo wieloletniego istnienia Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki) formuły finansowania przedsięwzięć zaplanowanych na dziesięciolecia czy wręcz pokolenia (Repertorium Germanicum trwa przy Niemieckim Instytucie Historycznym w Rzymie od czasów kajzerowskich, a Monumenta Germaniae Historica istnieją nieprzerwanie od lat równo 200, i oba mają wciąż co robić), i kurcząca się kadry ludzi zdolnych i chętnych poświęcić się niewdzięcznej pracy edytora. Nie zapewniała ona nigdy wielkiego uznania i sławy, dziś nie zapewnia zaś nawet punktów parametryzacyjnych. Robi się to zajęcie już nie tylko dla pasjonatów, ale dla naukowych samobójców.

Indywidualizm mniej doskwiera w przypadku opracowań. Mamy tu rzeczywiście wrażenie wielkiej różnorodności. Zakwita tysiąc kwiatów. Publikowano, jak była mowa, łatwo i dużo. Produkcja ta jest wręcz trudna do ogarnięcia, zwłaszcza wobec niedomagań zestawień bibliografii bieżącej (które powinny ukazywać się w postaci zdigitalizowanej i dającej się łatwo przeszukiwać). Już dekadę temu Jan Wroniszewski konstatawał, że więcej się pisze niż czyta, a smutne to zjawisko chyba stale się pogłębia. Nadmierna ilość przechodzi zaś łatwo w bylejakość. Wiele prac cechuje słabość warsztatowa (a nawet językowa!). Nie pomagają tu nic realizowane ściśle procedury recenzyjne, oczywiście *double-blind* i obwarowane szeregiem dodatkowych wymogów, które, rygorystycznie respektowane, uniemożliwiałyby niekiedy znalezienie jakiegokolwiek recenzenta. Następuje stopniowa, ale wyraźna deprofesjonalizacja badań mediewistycznych. Z jednej strony

jest to wynikiem upadku podstawowych umiejętności w obejściu ze źródłami, z drugiej zaś „postępowej” pogardy wobec tradycyjnych procedur badawczych, którym łatwo przykleić łatkę „pozytywizmu”. Pewien profesor głosi dziś wprost potrzebę zerwania z „fatum obiektywizmu”, nakazującego ograniczanie się do tego, co widać w źródłach z epoki, na rzecz równoprawnego uwzględniania wszelkiej (nawet najbardziej fantastycznej) „tradycji” późniejszej. Cieszy się Janusz Bieszk, którego bajania cytowane być zaczynają w poważnych z pozoru rozprawach w poważnych z pozoru (i punktowanych!) czasopiśmie. To przypadki skrajne. Coraz częstsze stają się jednak budowanie narracji na podstawie błędnie odczytanych i rozumianych tekstów źródłowych. Możemy więc przeczytać o przedsiębiorczej kobiecie utrzymującej się samodzielnie dzięki posiadaniu własnego kamienia młyńskiego, gdy źródło mówi o biedaczce kobiecie cierpiącej na bóle brzucha *utpote molam habuit*. Możemy przeczytać, że pewien kanonik na pewno pracował w kancelarii, skoro miał w domu liczne *robora antiqua* (co skojarzyło się z pieczęciami, ale oznacza przecież pnie dębowe). Coraz częściej recenzje z drukowanych prac skupione są nie na dyskusji z koncepcją i tezami autora, ale na wyliczaniu jego prostych błędów. Wierzę, że tego rodzaju wpadki to jeszcze nie zjawisko powszechne, ale jednak coraz częstsze. Przede wszystkim zaś groźne jest, że przepuszczają je szanujące się czasopisma, redakcje, wydawnictwa, recenzenci wewnętrzni. To dlatego czas bić na trwogę. Odnoszę czasem wrażenie, że coraz rzadziej czytamy tak naprawdę źródła. W wielu badaniach prozopograficznych wystarcza przecież rzut oka na testację, w badaniach osadniczych – rozpoznanie w tekście danej nazwy miejscowej, przy opracowywaniu itinerariów – identyfikacja miejsca wystawienia, przy studium dyplomatycznym – mechaniczne porównaniu formuł (których nie trzeba wcale dokładnie rozumieć), a postanowienia układów politycznych dobrze są znane z literatury. Praktyki takie oznaczają w dużej mierze operowanie zastaną już wiedzą, przelewaną jedynie i przemielaną na różne sposoby. To także efekt uboczny nadprodukcji kadr i publikacji. Choć na szczęście w Polsce wszędzie jeszcze odbywa się kurs nauk pomocniczych (różnie zresztą organizowany), następuje coraz szersze i powszechniejsze odwrót od umiejętności warsztatowych – które dla mediewistów oznaczać muszą znajomość języka źródeł (zwłaszcza łaciny), paleografii, dyplomatyki, chronologii i wielu jeszcze innych dziedzin. Ich opanowania nie zastąpi poszukiwanie interesujących inspiracji w literaturze zagranicznej. Inspiracje takie są oczywiście cenne, ale przydadzą się dopiero wtedy, gdy opanujemy warsztat. Chodzi więc w pierwszym rzędzie o ocalenie podstaw rzemiosła. Dopiero na nich rozwijać można jakiś wyższy kunszt.

Znakiem czasów stają się też pewna komercjalizacja badań. Gdy rośnie udział wydawców nastawionych na zysk, a kurczy się strumień dotacji ministerialnych, zwraca się coraz większą uwagę za sprzedawalność publikacji naukowych. Należy pisać tak, aby dało się to sprzedać, a więc – aby dało się to czytać. Generalnie to dobra tendencja, bo trudno uważać, że zdrowe było

programowe pisanie wyłącznie dla wąskiego kręgu kolegów po fachu, co prowadziło w istocie do lekceważenia czytelnika. Właśnie skutkiem takich nawyków, obok ogólnych uwarunkowań edukacyjnych i kulturowych, piszemy – trzeba uderzyć się w pierś – generalnie kiepsko, nudno i nieefektywnie. Pojawiają się jednak także wśród mediewistów pierwsi autorzy piszący ze świadomym nastawieniem na osiągnięcie sukcesu czytelniczego. Zjawisko to będzie się na pewno poszerzać. Istnieje, zawsze istniała i istnieć będzie popularyzacja. Dające się czytać prace samych badaczy stanowią jednak tylko jej część. Sektor drugi tworzą nieprofesjoniści. Jedni z nich upowszechniają po prostu wyniki badań, w przystępnej formie powtarzając wyniki fachowych rozpraw, inni starają się przekazywać własne, oryginalne pomysły, nie poparte jednak właściwym krytycznym studium źródeł, wiążące się za to zawsze z niezdrową fascynacją ujawnianiem prawd niedostrzeganych lub ukrywanych przez zawodowych historyków. Późne średniowiecze mniej rozpała wyobraźnię niż zagadki początków państwa i narodu, ale i nasza epoka ma Witolda Mikołajczyka, tropiącego w swych książkach sensacyjne wątki związane z wojnami polsko-krzyżackimi. Granice między tego typu pisarstwem a deprofesjonalizującą się, jak była mowa, historiografią staje się zresztą niekiedy płynna. Owa sfera popularyzacji nie ogranicza się zresztą do specyficznego gatunku literatury quasi-naukowej. Swoją rolę gra literatura piękna. W ostatnich kilkunastu latach nadzwyczajną popularność zyskują właśnie powieści poświęcone późnemu średniowieczu, jak cykl śląski Andrzeja Sapkowskiego czy cykl Elżbiety Cherezińskiej poświęcony czasom zjednoczenia. Oba opierają się na pomysły wplatania wątków fantastycznych w możliwie dokładnie i ściśle zrekonstruowane realia historyczne (u Sapkowskiego odkrywam, nie bez pewnej satysfakcji, ślady lektury moich prac o rycerstwie śląskim). Wartość tej zabawy polega na tym, że rodzima historia – nawet czasy dzielnicowe, dla postronnych stanowiące przeważnie symbol nudy – pokazywana jest tu jako materiał na opowieść równie zajmującą jak losy Drużyny Pierścienia. Ogromny sukces czytelniczy Sapkowskiego i Cherezińskiej pokazuje, że pomysł okazał się społecznie nośny. Ludzie są więc w stanie zainteresować się średniowieczem. Potwierdza to powodzenie telewizyjnego serialu *Korona królów*, który osiągnął zaskakująco dużą oglądalność (sięgającą 2 milionów widzów) i to także w najbardziej aktywnej i wybrednej grupie wiekowej 19-59 lat. Jeżeli obecnie oglądalność ta podobno raptownie spada, może to być efekt zmęczenia, charakterystyczny dla wszystkich telenowel. Może błędem było przyjęcie formuły tak długiego tasiemca, miast bardziej zwartej fabularnie postaci, jaką miały np. produkcje z lat 80. (*Znak Orła, Przylbice i kaptury, Królewskie sny*). Pokazują one, co dla nas najważniejsze, że do średniowiecza sięgano chętnie w różnych czasach, a jeśli przed długie lata tego nie czyniono, wynikało to zapewne ze świadomego odwrócenia się od dalszej historii. Późne średniowiecze słabo jest obecne w świecie gier – mój rekonesans na popularnych stronach internetowych pozwolił mi odnaleźć tylko jedną grę opartą na motywach losów Mieszka I (*Antecessors legacy*), ale nie znalazłem nic z XIV czy XV w.

Były gry planszowe, i to zarówno strategiczne (bitwa pod Grunwaldem), jak i poświęcone historii społecznej czy gospodarczej (pozwalające przeprowadzić lokację Poznania czy organizować kolonizację niemiecką na Śląsku), ale okazywały się chyba rynkowymi niewypałami. Istnieje wreszcie wielki ruch rekonstruktorów, w którym późne średniowiecze zajmuje poczesne miejsce. Ruch przynosi podwójną korzyść. U samych aktywistów budzi pogłębione zainteresowanie całą epoką, pokazy przyciągają zaś prawdziwe tłumy widzów. Najefektowniejszy są bijące wszelkie rekordy frekwencji masowe imprezy odbywane co roku na polach Grunwaldu.

Wszystko to razem świadczy o żywym w społeczeństwie zainteresowaniu wiekami średnimi. Ludzi zajmują więc w historii, wbrew temu, co można by wnosić z pobieżnego oglądu mediów, nie tylko czasy najnowsze, spory o Lecha Wałęsę, powstanie warszawskie czy może Komendanta Piłsudskiego. Zainteresowanie to stanowi szansę także dla profesjonalnej historiografii. Zbyt często odwraca się ona z poczuciem wyższości od laikatu. Z drugiej strony zadać sobie można pytanie, czy owe społeczne zainteresowanie historią potrzebuje nowych, profesjonalnych badań, skoro może też żywić się starszymi treściami. Nie doceniamy miłośników przeszłości. Wielu z nich jest bowiem dobrze odczytana, zna starszą literaturę, widzi jej słabości i szuka nowych ustaleń i czeka na nie. Nie jest przypadkiem, że różne imprezy rocznicowe czy wykłady organizowane na tzw. „prowincji” potrafią przyciągać tłumy niewidziane w wielkich ośrodkach akademickich. Wydany niedawno *Słownik historyczno-geograficzny ziemi liwskiej w średniowieczu*, rzecz nie należąca wcale do łatwych w odbiorze, podczas spotkań promocyjnych na miejscu, w Liwie (który nie ma dziś nawet praw miejskich), nabywany był w znacznych ilościach przez lokalnych mieszkańców, a późniejsze sygnały wskazują, że był też czytany i komentowany. Wszelka popularyzacja historii musi być zasilana paliwem odpowiednich badań profesjonalistów. Rekonstruktorzy czekają na badania bronioznawcze czy kostiumologiczne, regionaliści na rozwiązanie zagadek ze swej lokalnej przeszłości. W niejednym mieście ludzie zastanawiają się nad datą lokacji czy lokalizacją najdawniejszego kościoła, oczekując aż ktoś z zawodowych historyków pomoże im rozwiązać te dylematy. A właśnie późne średniowiecze ma dla nich szczególne znaczenie, bo to tam właśnie leżą przeważnie owe tajemnicze początki.

Regionalistyka ma dla społecznego odbioru historii, także późnośredniowiecznej, szczególne znaczenie. Już Polibiusz z Megalopolis w II w. przed Chr. pisał (IX 1), że ludzi w przyciąga do historii przede wszystkim ciekawość genealogii, początków miast oraz wielkich wydarzeń politycznych. Nawet gdy uświadomimy sobie pewne różnice terminologiczne (genealogia dla greckiego autora to przede wszystkim rodowody bogów i herosów, a więc raczej mitologia), deklaracja brzmi zaskakująco aktualnie i można by ją donieść do oceny dzisiejszych gustów czytelniczych. Tak samo odpowiadają dziś księgarze, pytani, jakie książki historyczne sprzedają się najlepiej. Gusta zdają się zatem ponaddziejowe. Ludzi zawsze widocznie bawią te same sprawy,

a więc historia lokalna (zwłaszcza w aspekcie początków), genealogia, dzieje polityczne. Regionalistyka stanowi pole praktycznie nieograniczone. Może pisać dzieje regionów, krain, powiatów, miast, gmin, pojedynczych wiosek, a nawet pojedynczych ulic. Jest to zarazem pole niezwykle wdzięczne w uprawie, zapewnia bowiem przeważnie łatwy i żywy kontakt ze zorganizowanym odbiorcą, czy w postaci władz lokalnych, czy to miejscowych towarzystw miłośników przeszłości. Trzeba jednak zawsze pójść do nich z solidną i ciekawą ofertą, nie tylko w sensie formy, ale przede wszystkim treści. Trzeba pokazać wyniki porządnych poszukiwań, odsłonić rzeczy nowe, pokazać bogactwo dawnego życia, aktualność jego problemów i związek z wielką historią państwową czy narodową (co zresztą stanowi materię delikatną). Na to czekają ludzie w terenie. Nie można występować wobec nich z tandetą, powtarzać stale te same fakty i stwierdzenia, które ludzi znają już z dawniejszych opracowań. Niestety uprawianie regionalistyki kojarzy się wielu historykom z łatwą a dobrze płatną chałturą, której wyników i tak nikt przecież odbiorcy nie potrafią zweryfikować. To nieprawda. Są podobno specjaliści, którzy posiadany w komputerze model historii miasta powielają w kolejnych wersjach, zmieniając tylko nazwy, daty i nazwiska. Ramowa opowieść pozostaje zawsze ta sama – bo wszędzie była osada przedlokacyjna, lokacja na prawie niemieckim, wszędzie powstał rynek, kościół i ustrój samorządowy, wszędzie było w zasadzie to samo. Mam wrażenie, że taki sposób uprawiania odchodzi już w przeszłości, także za sprawą oporu lokalnych zleceniodawców. Coraz więcej pojawia się za to chwalebnych przykładów historii lokalnych pisanych w sposób oryginalny, zajmujący, popartych rozległymi badaniami i pokazujących miejsce w szerszych procesach dziejowych. To przydatne nie tylko z punktu widzenia lokalnego, ale także jako cenny materiał dla szerszych ujęć. Nie zrozumiemy historii miast bez monograficznego rozpoznania kolejnych ośrodków. Szczególnie bogaty w inicjatywy regionalne, i to na różnych poziomach, od dziejów całej krainy, pozostaje Śląsk. Ziemia ta ma zresztą w tym względzie świetne tradycje sięgające głęboko w XIX w. Niemcy „są w tym wielcy”, z podziwem oceniał w kontekście badań regionalnych Teodor Tyc (1896-1927), nawołujący, by wzory te naśladować także u nas. Tak się też dzieje – mamy już kilka syntez historii Śląska (osobno także Dolnego i Górnego), mamy kilka historii Wrocławia, wciąż powstają nowe historie innych miast, powiatów i wsi (w nowocześnie koncipowanej serii „Historia obok. Studia z dziejów lokalnych”). Śląsk może być rzeczywiście wzorem dla pozostałych ziem, choć wszędzie coś się w tej dziedzinie dzieje.

Druga dziedzina to genealogia. Jej popularność jest zrozumiała, bo dotyka każdego – każdy ma swoich przodków, przeważnie chciałby, snobistycznie, by byli wielcy i sławni, a stąd już zainteresowanie obcymi rodzinami. Specyfikę polskiej mediewistyki stał się rozwój badań genealogicznych. Zainicjował je i koncepcyjnie zaprojektował jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Janusz Bieniak, kontynuowali potem jego toruńscy uczniowie, ale z Torunia fala

popularności tej tematyki rozlała się na cały kraj. Szczyt rozkwitu owych badań przypadał chyba na ostatnią dekadę XX i pierwsze lata naszego stulecia. Dziś popularność ta już przygasa. Genealogii zarzucano niekiedy jednostronność i marnowanie energii, którą można było zużytkować z lepszym skutkiem na inne, ciekawsze badania. Prace genealogiczne były przecież jednak znakomitą szkołą metody i warsztatu, z zasady wymuszały na młodych adeptach korzystanie ze źródeł archiwalnych i z zasady wprowadzały zawsze jakąś całkowicie nową faktografię. Prawie żadna z tych prac (poza wyjątkami w rodzaju Tęczyńskich Janusza Kurtyki) nie wstrząsała co prawda naszym obrazem dziejów społecznych. W sumie stanowiły jednak ogromną wartość. Wraz z pokrewnymi im studiami prozopograficznymi nad duchowieństwem kapitulnym (który to nurt też zresztą ostatnio zamiera), a także *Słownikami historyczno-geograficznymi* (coraz bardziej nachylającymi się ku odtwarzaniu dziejów rodzin dziedziców), dały podstawę do dokładnego rozpoznania późnośredniowiecznego społeczeństwa, przynajmniej w jego szlacheckim segmencie. Znaczną część szlachty piętnastowiecznej mamy dziś dobrze zidentyfikowaną pod względem rodowym, rodzinnym, majątkowym. To ogromny postęp w porównaniu ze stanem wcześniejszym. Sądzę, że właśnie to jest największą wartością w dorobku interesującego nas trzydziestolecia. Zebrany materiał powinien zaś dalej procentować. Naturalnym etapem kolejnym winno być bowiem wykorzystanie nagromadzonego materiału szczegółowego dla kreślenia ogólnego obrazu życia szlachty, rodziny szlacheckiej, polityki małżeńskiej itp. (czego pierwsze zwiastuny już powstały). Warto też badania genealogiczne prowadzić dalej, przede wszystkim jednak w odniesieniu do środowisk, których dotąd nie tykały, a więc mieszczaństwa, chłopstwa i Żydów. Wspomnieć wreszcie trzeba o licznych genealogach-amatorach, skupiających się w prężnie funkcjonujących stowarzyszeniach, ale przeważnie nie zajmują się oni średniowieczem – choć niektórzy sięgają i w tę epokę. Ich badania, oparte na źródłach, przynoszą z zasady nowe ustalenia i mają naukowy walor drobnych przyczynków. Na gruncie metody genealogicznej, która nie jest przecież łatwa, zaciera się różnica między profesjonalistami i amatorami.

Od genealogii blisko do biografistyki. Ma się ona dobrze. Ukazuje się sporo tytułów, acz z kilku ukazujących się serii ostała się ta wydawana przez krakowską oficynę Avalon, dedykowana specjalnie średniowieczu, z nachyleniem ku różnym książętom dzielnicowym. Wyszły tam już książkowe biografie Leszka Siemomysłowica inowrocławskiego, a nawet Alberta wielkostrzeleckiego. Widać, że sięga się na coraz niższe półki historycznego znaczenia. Decyduje to zarazem o malejącej randze naukowej tego nurtu, z czym wiąże się bardzo niejednorodny poziom opracowań, stanowiący funkcję angażowania szerokiego grona autorów, także półamatorskich. Trend do tworzenia biografii coraz drobniejszych władców jest wysocy symptomatyczny. Niedługo wyczerpie się już pewnie pula władców dzielnicowych, o których pisać daje się stosunkowo łatwo, widać za to niechęć do pisania naprawdę wielkich biografii. Miarą wielkości nie jest tylko samo

dziejowe znaczenie bohatera, ale także koncept pisania o nim – nikt już nie porywa się na opisywanie przez pryzmat biografii całych epok, jak czynili niegdyś Stanisław Smolka czy Benedykt Zientara (a kolejne próby, choćby w przypadku biografii Leszka Czarnego, okazały się nieudane). Nie mamy w każdym razie nowoczesnych biografii żadnego z królów (wyjątkami są tylko Przemysł II, którego zaliczyć jednak należy raczej między książąt dzielnicowych, oraz Jadwiga Andegaweńska). Pomijając zaś znaczenie naukowe takich opracowań, byłyby na pewno hitami wydawniczymi. Wprawdzie naturalna jest dominacja biografii władców, ale docenić trzeba pojawienie się grupy opracowań poświęconych wybitnym postaciom niedynastycznym. Skarbnicą biografistyki pozostaje Polski słownik biograficzny, w którym średniowiecze jest stale dobrze reprezentowane, niekiedy chyba aż do przesady (zamawiane są nawet biogramy drobnych urzędników ziemskich).

Od biografii z kolei pozostaje już tylko krok do historii politycznej. W tej dziedzinie, niegdyś uchodzącej za trzon wszelkiej historii, odnotować trzeba znaczne deficyty. Nasza historiografia nie dorobiła się podstawowych kompendiów gromadzących w krytyczny sposób i z odwołaniami do źródeł całą polityczną faktografię, podług wzoru jaki wytworzyły *Jahrbücher des Deutschen Reiches* czy *České dejiny*, które zainicjował Václav Novotný. U nas już w XIX w. uznano, że prac tego typu nie warto prowadzić. Do dziś odczuwamy to zaniedbanie, a brak doskwiera zwłaszcza w odniesieniu do późnego średniowiecza – choć wspomniany model „rocznikowy” pasował raczej do epok wcześniejszych i w Niemczech czy Czechach nie dał się zastosować do wieków XIV czy XV. Wydaje się jednak, że w polskich warunkach względnej szczupłości źródeł dałoby się go zrealizować do końca średniowiecza. Dziś tego typu pisarstwo uchodzi już za nadzwyczaj staromodne, ale przyznać trzeba, że przydałoby się bardzo. Jedyną opatrzoną przypisami źródłowymi pracą, która w całościowy zestawia faktografię polityczną naszych dziejów późnośredniowiecznych, jest wciąż synteza, jaką w pięciu tomach dał niemiecki autor Jakob Caro w latach 1863-1888. Poza nim mamy już tylko rozmaite namiastki (zwłaszcza monografie wybitnych postaci czy rodzin, omawiające ich aktywność w polityce państwa). Stworzenie polskiego odpowiednika niemieckich *Jahrbücher* wydaje się zatem wciąż, mimo całej anachroniczności takiego pomysłu, ważnym postulatem. Konieczne jest kontynuowanie i ożywianie badań bardziej szczegółowych i to zarówno w wymiarze śledzenia struktur i mechanizmów uprawiania polityki, jak i nadal w zakresie ustalania faktografii. Trzeba wciąż na nowo wracać do tradycyjnych tematów: sporu o Grunwald (niedawne obchody rocznicy z 2010 r. pokazały poznawczy potencjał tego zagadnienia, ale wciąż nie wiemy, gdzie odbyła się ta bitwa, której znaczenia dla całych naszych dziejów i naszej tożsamości narodowej nie sposób przecenić), unii z Litwą, kształtowanie się demokracji szlacheckiej, narodziny Rzeczypospolitej. Wszystko to trzeba badań w studiach szczegółowych, ale zawsze ze zmysłem syntetycznym i świadomością szerszej

perspektywy. Tematy te interesują nie tylko nas. To Anglik Robert Frost pokazał światu, jak fascynującym fenomenem dziejowym była unia, to niemiecki Szwed Sven Ekdahl posiał wątpliwości co do uświęconej lokalizacji bitwy grunwaldzkiej, to Niemka Julia Dücker (dziś już Burkhardt) napisała porównawczą historię parlamentaryzmu środkowoeuropejskiego. Czemu nie zrobił tego nikt z Polaków?

Badania nie mogą się ograniczać do tych wskazanych kilku dziedzin, w których liczyć można na największy rezonans społeczny. Badać trzeba oczywiście wszystkie strony procesu dziejowego, także te, które nie muszą znajdować zrozumienia u nieprofesjonalistów. Powinniśmy przede wszystkim zajmować się „naszą” historią, a więc zarówno Polską w sensie późnośredniowiecznego Królestwa, oczywiście wraz z Litwą, Rusią, Prusami – z racji wspólnoty losów w tamtej epoce, ale też z ziemiami, które dziś stanowią część naszego terytorium, a więc Śląskiem i Pomorzem. To jest po prostu dziedzictwo, które z wyroku losów zostało nam powierzone. Oczywiście należy uprawiać rozmaite dziedziny. Warto odbudować historię gospodarczą, do przesady absolutyzowaną za stalinizmu, za co spotkało ją potem niezасłużona niechęć kolejnych pokoleń badaczy. Konieczne jest oczywiście wypracowanie dla niej nowych podstaw metodycznych i warsztatowych, co robi się już zwłaszcza w Białymstoku. Wypracowywać należy nowy, integrujący rozmaite nurty badań model historii społecznej (czemu Sławomir Gawlas poświęcił już dwie konferencje, owocujące ważnymi tomami artykułów). Obiecujące są studia nad kulturą pisma, które powinny jednak nie tylko sięgać do inspiracji teorią komunikacji, ale możliwie szeroko korzystać z tradycyjnego warsztatu dyplomatyki. Nie chcę pisać, co badać należy, czego nie warto, co jest lepsze, co gorsze. Wszystko, co dobrze zrobione, jest przydatne. Warto jednak mimo wszystko zwracać uwagę na gusta odbiorców i wsłuchiwać się w ich głos. Nie jest dobrze, że historiografia, zapatrzona we własny profesjonalizm, w imię swego naukowego charakteru, świadomie i programowo lubi odcinać się – doborem wydumanych tematów, samą konstrukcją odstręczających tytułów, wreszcie hermetycznym językiem – od niefachowego odbiorcy. Badać trzeba oczywiście wszystko, ale jak najwięcej jednak starać się pisać dla ludzi. Warto sięgać do tematów, które zdobyć mogą zainteresowanie. Piszmy przede wszystkim o ludzkim życiu. Była kiedyś popularna „historia życia codziennego” (vie quotidienne, Alltagsgeschichte). W Polsce istniała nawet wydawana przez PIW seria specjalnie temu poświęcona. Skręcało to jednak mocno (choć nie zawsze – z przywołanej serii przypomnieć trzeba przepiękną książkę Ryszarda Kiersnowskiego o życiu codziennym na średniowiecznym Śląsku) ku kulturze materialnej. Struktury materialne codzienności (warunki życia i mieszkania, pożywienie, ubiór itd.) są oczywiście bardzo ważne, ale objąć należy także inne dziedziny. A więc struktury społeczne wszelkiego szczebla, od najwyższych, państwowych i narodowych, poprzez stanowe, terytorialne (czekające wciąż na swego badacza *communitates terrestres*), rodowe, aż do najniższych, na

poziomie rodziny, wszystko zaś w ujęciu, które nazwałbym „antropologizującym”, bo stawiającym jako przedmiot obserwacji nie ową abstrakcyjną strukturę, ale uwikłanego w nią człowieka. Kluczowa stanie się zatem sprawa świadomości jednostki, poczucia związku z różnymi kręgami społecznego odniesienia. Zbliża to ten pomysł do modnych badań nad historią mentalności (w liczbie mnogiej, *Mentalitätengeschichte*), pragnącej pokazać, jak żyli, jak myśleli i z czym się utożsamiali przedstawiciele różnych grup społecznych. Za wprowadzenie w tę dziedzinę służyć może piękna książka Hansa-Henninga Kortüma o ludziach i mentalnościach, czyli średniowiecznych „światach wyobrażeń” (*Menschen und Mantalitäten. Einführung in Vorstellungswelten des Mittelalters*, 1996). Jestem przekonany, że obraz taki dla polskiego późnego średniowiecza, mimo powszechnego przekonania o deprymującym ubóstwie naszych źródeł, dałby się skreślić na podstawie masowych akt sądowych i czerpanych z nich opisach losów konkretnych ludzi. Pewien wzór podejścia do tego typu materiału źródłowego zaproponował Arnold Esch swoimi książkami zbudowanymi w całości na przekazach wydobywanych z akt penitencjarii apostolskiej (*Wahre Geschichten aus dem Mittelalter*, 2010; *Die Lebenswelt des europäischen Spätmittelalters*, 2014). Książki te zapewniły mu rozgłos i czytelnicze uznanie, a są niczym mieniący się niesłychanie żywymi barwami gobelin tkany z opowiadanych w suplikach fragmentów „małych losów” ludzkich. Prezentowany tam sposób relacjonowania tych historii, czyniący z nich zbiór błyskotliwych anegdot, należałoby jednak z pewnością rozwinąć w kierunku bardziej systematycznego ich potraktowania i pogłębionej analizy, by lepiej poznać bohaterów i kontekst ich przygód na tle całego ich życia. Tą drogą, z wykorzystaniem „gęstego opisu”, właściwego dla dokładnego odtwarzania „mikrohistorii”, dałoby się stworzyć pogłębiony i wielowarstwowy obraz życia, integrujący jego materialny, społeczny, kulturowy i mentalny wymiar.

Marzą mi się kreślone w taki właśnie sposób przynajmniej dwie wielkie panoramy – dzieje rodziny późnośredniowiecznej oraz obraz życia lokalnego, „Polska powiatowa”, łączący zaproponowane ujęcie z regionalistyką; połączenia takiego warto byłoby dokonać zwłaszcza w odniesieniu do obszaru, na którym w grę wchodzi styki różnych kultur. Mamy ich wiele: Ruś, Podhale, Śląsk (tyle razy reklamowany jako *Brückenlandschaft*), Prusy, ale także mniejsze, a więc łatwiejsze do ogarnięcia w proponowany sposób, terytoria: Wałcz czy Wschowa na północnych i południowych kresach Wielkopolski. Badanie kulturowych styków jest dziś deklaratorywnie bardzo modne, ale w praktyce rzadko się je uprawia, a jeśli już, to raczej na wyższym poziomie uogólnienia (jak w przypadku całego Śląska). Wydaje się, że takie właśnie ujęcie, skupione na ludziach pewnego ściśle określonego regionu, zarówno przyniosłoby niezwykle cenne wyniki naukowe, jak i spotkałoby się ze społecznym zainteresowaniem. Dwa wskazane pomysły nie są oczywiście jedyne. Propozycje można oczywiście mnożyć, sięgając do różnych modnych i naprawdę intrygujących tematów, jak choćby świat przestępczy (w odniesieniu dla nieco

późniejszego czasu badany już od lat dziewięćdziesiątych), życie kobiet, przemoc domowa, mniejszości seksualne itp. Rzecz jednak nie w samych tematach, które wymyślać łatwo. Kluczowe jest solidne wykonanie, które zdoła ładny pomysł sprowadzić na stabilny grunt źródeł. Nie zawsze to się udaje. Dobrym przykładem przedsięwzięcia udanego może służyć wydana niedawno świetna praca Małgorzaty Kołacz-Chmiel o kobiecie chłopskiej, aplikująca ciekawe pomysły badawcze na bogaty materiał źródłowy, pracowicie zebrany z ksiąg sądów wiejskich i kościelnych. W podobny sposób należałoby solidnie zakotwiczyć w źródłach każdy pojawiający się pomysł. Nadzieje wiązałbym przede wszystkim z szerszym wykorzystywaniem akt sądowych, które – przypomnijmy wyżej już zgłaszany postulat – należy jak najszerszej i jak najpilniej udostępniać. W nich tkwi, uważam, przyszłość badań późnośredniowiecznych. Za najważniejsze z punktu widzenia sugerowanych tematów uważam księgi konsystorz, sądownictwa kościelnego, bo to one w najpełniejszy i najdogłębniejszy sposób oświetlają delikatną i intymną, a w innych przekazach słabo przeważnie widoczną, sferę życia małżeńskiego i rodzinnego. W ramach akt konsystorskich, z postępani kościelnej biurokracji rozbudowywanych na różne serie, wskazać należy zaś szczególnie protokoły zeznań świadków (*depositiones testium*). To pasjonująca lektura, teksty, w których zwykli ludzie, często bardzo prości, przemawiają do nas własnym głosem, często nieudolnie i chaotycznie, ale zawsze z przejmującą bezpośredniością i szczerością. Zdawać sobie oczywiście trzeba sprawę z uwarunkowań źródłoznawczych – mamy jednak zapis tworzony w ostatecznej instancji przez pisarza, który mógł w niego ingerować, a przede wszystkim przekładał słowa świadków na urzędową łacinę. Nie umniejsza to wiele rangi tych przekazów. Każdy polski mediewista zna *Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum*, wydawnictwo akt procesów polsko-krzyżackich i każdy wie, ile dały naszej historiografii zawarte w nich zeznania świadków – słusznie uchodzące za materiał bezcenny, acz w istocie nieco jałowy, skoro wszyscy opowiadają tam w kółko o tych samych sprawach zaboru Pomorza i wynikłych z tego sporów. Rzadko kto natomiast zdaje sobie sprawę, że w kościelnych archiwach w Gnieźnie i Poznaniu leży 8 tomów analogicznych zeznań składanych w konsystorzach w najrozmaitszych procesach. I mówi się tam o wszystkim – o małżeństwie (swoim czy sąsiada), o pokrewieństwie, o miłości lub nienawiści do współmałżonka, o poborze dziesięcin, o pobiciu w kościele, o życiu w szkole, o okolicznościach spisania testamentu, o awanturach w karczmie z udziałem księdza lub uczniów, o wybrykach kapłana, a także o kontaktach z heretykami, podejrzanych poglądach czy lekturach. Niewiele sięga się do tych akt. Paweł Kras skutecznie eksploruje materiał dotyczących herezji. Młody historyk, Adam Kozak, przygotowuje wydanie *in extenso* najciekawszych ksiąg gnieźnieńskich. Jestem przekonany, że ich publikacja może mieć rewolucyjne wręcz znaczenie dla naszych badań i powinna przynieść całkowicie nową jakość. Cały świat, także polski czytelnik, zachwyił się kiedyś Montaignou, wioską akwitańskich heretyków, opisaną na podstawie takich

właśnie materiałów przez Emmanuela Le Roy Ladurie (1975, tłum. pol. 1988). Nasze przekazy są wprawdzie późniejsze, może okażą się jednak uboższe, ale jestem przekonany, że dałoby się znaleźć „polskie Montaillou”, o którym w duchu nieziszczalnego marzenia pisali niektórzy historycy. Może to Chojny, dzisiejsza dzielnica Łodzi, znana z niebezpiecznego podobno dworca kolejowego, w XV w. zaś będąca zagubioną w lasach wioską, której mieszkańcy walczyli o uzyskanie własnej parafii i opowiadali barwnie, acz pewnie przesadnie, o swych nędznym życiu *ut bestie* w zapomnieniu od Boga, kościoła i świata. Mówiąc obrazowo, należy życie Polski jagiellońskiej opisać ponownie nie na podstawie Długosza, ale tych właśnie akt sądowych. Otwarte pozostaje pytanie, kto miałby to zrobić. Wspomniane księgi wykorzystuje chyba kilkanaście osób i nie będzie łatwo stan ten zmienić – ich czytanie wymaga nie tylko chęci i cierpliwości, ale także dużych umiejętności, a nade wszystko sporego doświadczenia. Kto spróbowałby podejść do nich bez należytego przygotowania, niewiele zrozumie. Zacząć więc trzeba do odbudowywania na proseminariach i seminariach umiejętności warsztatowych i szkoleniu młodych adeptów w trudnej sztuce czytania i rozumienia tych przekazów.

Wymagajmy więc przede wszystkim od siebie. Potrzebne są porządne badania, ugruntowane w źródłach, a nie tylko oparte na efektownych pomysłach. Badania nakierowane na człowieka i dotykające ważnych, nośnych spraw. Jestem przekonany, że mogą one spotkać się ze społecznym zainteresowaniem. Piszmy o ludziach, dla ludzi i po ludzku. Tak wymagała klasyczna historiografia i tak robi się na całym świecie. By nie szukać daleko, wskaźmy najbliższych sąsiadów. Czesi mają wielką tradycję pisania prac na najwyższym poziomie naukowym, ale zarazem ujętych przystępnie, wręcz efektownie literacko. Mistrzem stylu był kiedyś Josef Šusta. Dziś w takim duchu tworzy swą wielką heksalogię o dziejach epoki przemysłidzkiej Josef Žemlička. Wspomnijmy do tego jeszcze wystawne tomy zbiorowe poświęcone Przemysłidom i Luksemburgom, złożone z eseistycznych tekstów czołowych badaczy, a do tego pięknie ilustrowane. Nasza mediewistyka nie ma od dawna, chyba od czasu Benedykta Zientary i jego Henryka Brodatego (1975) oraz *Świtu narodów europejskich* (1985), niczego porównywalnego. Są wprawdzie autorzy – jak Henryk Samsonowicz – potrafiący napisać zgrabny i mądry esej, ale to u nas gatunek wtórny, nie jesteśmy zaś zwyczajni, by w takiej formie przekazywać najświeższe wyniki badań. Warto przypomnieć, w jakim stylu i z jaką werwą pisał kiedyś Władysław Konopczyński, i na jego wzór stworzyć gatunek przystępnie pisanych monografii, biografii (one nadają się tu szczególnie), syntez. Jestem pewien, że przy takim podaniu i przy umiejętnej promocji zyskałoby to szeroki rezonans społeczny, sprzedawało by się i dobrze wpływało na stan społecznej wiedzy o przeszłości – a zarazem na społeczną ocenę cechu mediewistów, jako ludzi jednak do czegoś przydatnych. Jest, jak pokazywałem, pewne społeczne zainteresowanie dawną historią, korzystajmy z niego i troskliwie je pielęgnujmy. Późne średniowiecze wydawać się może niewdzięcznym polem. Z pozoru jest dla dzisiejszego odbiorcy

epoką odległą, i to nawet bardziej niż średniowiecze wczesne, zalecające się urokiem epoki początków, które zawsze zajmują ludzi w szczególny sposób – dość przypomnieć autentyczne zainteresowanie, jakie zrodziło się przy okazji nieco sztucznie wykreowanej okazji 1050. rocznicy chrztu Mieszka. A jednak późne średniowiecze okazuje się bardzo aktualne. To pierwsza epoka, w której współczesny człowiek bez trudu potrafi rozpoznać problemy nas otaczające: mechanizmy walki o władzę i rywalizacji stronnictw politycznych, budowy społeczeństwa obywatelskiego (tu z dumą pokazać możemy, jak kroczyliśmy w czołowiec postępu, budując je w XIV-XVI w., podczas gdy Europa zmierzała ku absolutyzmowi), walki o praworządność (począwszy od konfederacji Maćka Borkowica, poprzez wielkie przywileje, koszycki, jedlneński czy nieszawski, boje z o potwierdzenie praw przez monarchów aż po ruch egzekucji praw i dóbr), ambiwalentny stosunek do Europy (odbijający się przecież tak wyraźnie już w walce „o kształt zjednoczonego Królestwa”, opisaną przez Sławomira Gawłasa w erudycyjnej rozprawie, której przeciętny czytelnik niestety nie przeczytał), stosunek do własnej tradycji, wyrastanie tożsamości narodowej, narodziny Rzeczypospolitej jako fenomenu o ogromnym znaczeniu i potencjale także i dla dzisiejszej polityki, problemy podatkowe, a nawet krytyczny stosunek do kleru czy występki duchownych. Wszystko to problemy, w których współczesny człowiek odkryć znane sobie problemy i czegoś się dla siebie nauczyć. Oczywiście nie można popadać w przesadny prezentyzm, nie wolno upraszczać analogii ze średniowieczem i broń Boże, nie instrumentalizować ich w służbie współczesnych sporów. Wystarczy pokazać, że świat sprzed 500-700 lat żył podobnymi problemami, i to jest już płaszczyzna, która powinna ludzi interesować, a nawet skłonić do głębszej refleksji.

Komu więc, wracając do postawionego w tytule pytania, potrzebna jest dziś mediewistyka. Całemu społeczeństwu. Wszystkim, bo każdy może znaleźć w niej coś dla siebie. Oto awangardowa artystka polskiego pochodzenia, urodzona w Lublinie, ale mieszkająca w Niemczech i ciesząca się tam wielkim uznaniem, Agnieszka Polska, stworzyła niedawno swą proekologiczną i radykalnie postępową wizję (*The Demon's Brain*), w sobie wiadomy sposób czerpiąc inspiracje z... dokonanej przez zespół polskich historyków pod kierunkiem Waldemara Bukowskiego edycji listów żupnika Mikołaja Serafina. To w niej odkryła opis najważniejszych problemów, z którymi zmagają się do dziś świat i cywilizacja. To tylko kolejny dowód, jak wielki potencjał poznawczy tkwi w tej odległej i z pozoru tak obcej dzisiejszemu człowiekowi epoce. Pomóżmy tylko ludziom ją poznać i odczytywać.